POZNAŃ, 25 VII 1948 r. ROK III

Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy

Nr 30 Głosu Wielkopolskiego

Węgiel, mysz w piekarni i bardzo czarna robota

(Reportaż specj. dla „Świata")

Twarz i ręce pokrywają się punkcikami sadzy i pyłem węglowym, jeśli pospacerować dłużej ulicami tego dziwnego miasta. Ponad 100 tys. ludzi oddycha tu powietrzem, w którym miesza się zapach dymu, ulicznego kurzu i... żywicy. Tak, żywicy. Lasy i wzgórza bowiem otaczają wokół roz-

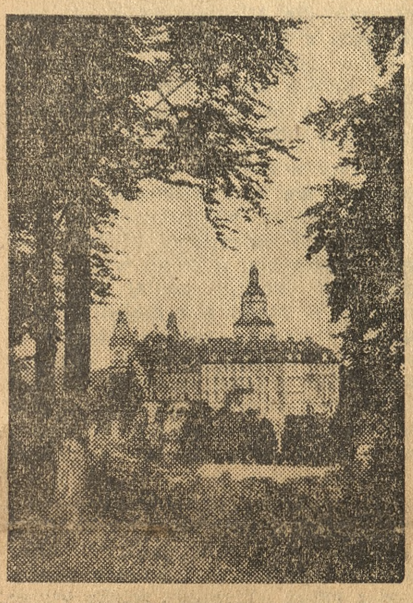

Chociaż sam Wałbrzych nie jest miastem pięknym, jego okolice należą do nader uroczych i pociągających. Czyż nie jest ślicznym ten zabytkowy zamek w pobliskkim Książnie?

ległą kotlinę, w której przysiadły niepozorne domki robotniczego Wałbrzycha. Z kotliny wystrzelają w górę smukłe kominy. Przez nie to właśnie przepływa pracowity oddech wielu fabryk, kopalń i hut.

Niechaj też nikt się nie dziwi. że ulice miasta są przeraźliwie szare. Szare są mury domów i czynszowych kamienic. Szary jest tłum ludzi, przewalajcąy się gęstą falą chodnikami.

A tłum to różnorodny i — wielojęzyczny. Bo tu i tam trafi się jeszcze jakiś Niemiec, zatrzymany czasowo z braku polskich fachowców. Bo w tramwaju i na rynku nierzadko rozmawia się po francusku: to synowie i córki Polaków-górników, repatriowanych niedawno z Francji. Wreszcie pamiętać trzeba o tym, że miasto dało schronienie wielu Żydom, ocalałym z hitlerowskiego pogromu.

Kotłuje się i kipi wałbrzyska ulica. Życie jest gorączkowe, szybkie, nieco krzykliwe. Sklepów ,zwłaszcza spółdzielczych, bardzo dużo. Ale okienne witryny nie spełniają swego zadania: odstraszają klientów tandetnością dekoracji i brudem. Do złudzenia przypominają mizerne lady przed wojną na naszych kresach Na jednej z głównych ulic w oknie „Piekarni i Cukierni" widziałem bardzo wzruszający obrazek: wytarzana w mące żywa mysz biegała sobie beztrosko wśród wyłożonego pieczywa, niepomna zainteresowania, jakie wzbudziła, wśród przystających przechodniów. Brr... I pomyśleć, że tyle ciastek zjada człowiek.

Jeszcze jeden szczegół uderzyć może przybysza, jeżeli zechce zajrzeć do wnętrza pierwszego lepszego sklepu. Z jakąś zadziwiającą solidarnością pozawieszali właściciele bardzo głębokiej treści napisy: „Kredyt umarł, zabili go dłużnicy, o śmierci jego zawiadamiają pozostali w smutku łatwowiernicy". A po polsku ma to znaczyć, że kredytu nie udziela się.

Ale nie kupiectwo nadaje ton wyglądowi i życiu miasta. Wyjrzyjcie na peryferie. Aż się tu roi od wysokich dymiących kominów. Pięć kopalń węgla wydziera ziemi czarny lśniący kruszec. Trzy razy dziennie górnicy zapalają swe ciężkie elektryczne latarki i opuszczają się głęboko w dół.

Sztygar Edelman, oprowadzający nas po kopalni „Biały kamień" uśmiecha się pobłażliwie, kiedy słyszy mocno naiwne pytania laików. O, tak, — mechanizm kopalni jest dość skomplikowany. Zanim węgiel dojdzie do konsumenta, przebywa długą, bardzo ciekawą drogę. Patrzymy z podziwem, jak stalowa winda rytmicznym ruchem wydźwiguje na wysokość 1 piętra napełnione czarnym złotem wózki (do 500 na godzinę!). Opuszczając windę, dostają się one od razu na szyny i, poruszane biegnącą między szynami taśmą, biegną półkolem do specjalnej wywrotnicy. Węgiel zsypuje się z hukiem w otwartą czeluść leju, a próżny wózek dostaje się znów przed windę.

Ach, nie starczyłoby miejsca, gdyby oddać słowami dokładne koleje losu, jakim podlega węgiel po opuszczeniu wózka. Trzeba by napisać coś o sortowni, czyszczalni, „płóczce" i innych dziwnych rzeczach. Trzeba by wspomnieć o tym, jaki węgiel idzie do koksowania, jaki na smołę, a jaki znów na przetwory chemiczne.

Ten Wałbrzych, jaki poznajemy w kopalni jest już nie szary, lecz czarny. Czarną jest robota, którą górnik w pocie rąk i czoła wykonuje. Ten na 650 m pod ziemią — i ten na powierzchni. W czarnej twarzy robotnika świecą tylko białka oczu lub zęby.

Wyniki pracy górników wałbrzyskich są godne pochwały: wszyscy zdali egzamin pilności. Plan wydobycia przekroczyły w ub. miesiącu kopalnie: „Bolesław Chrobry", „Victoria", „Biały kamień" i „Mieszko". To samo można powiedzieć o koksowniach. Plan półroczny dla wszystkich koksowni wałbrzyskich wykonany został do połowy lipca z nadwyżką 1200 ton.

Miasto dymiących kominów, z uwagi na bliskość Cieplic-Zdroju, roi się latem od przybyszów z całej Polski. Nie zdołało też obwarować się przed najazdem lotnych trup artystycznych.

Ba, coraz ludniej w Wałbrzychu. Robotnicze miasto rozbrzmiewa już nie tylko syrenami zakładów przemysłowych, ale i gwarem tłumów.

Niech się rozrasta Można mu życzyć tego z całego serca.

Julian Mikołajczak

Kilkanaście minut tramwajowej jazdy — i oto znajdziesz się turysto, w uroczym parku w Szczawnie (dawniej: Solice-Zdrój)

J. ANTONIEWICZ

Wszystkie zdjęcia autora

PALESTYNA — ZIEMIA OBIECANA

Trochę historii

Około XXIII w. prz. Chr. Semici z Chaldei płd. ruszyli ponownie nad Eufrat i jedni osiedlili się w Mezopotamii, drudzy pod wodzą Abrahama przekroczyli rzekę, inni wreszcie przeszli Jordan, albo osiedlili się w Egipcie i pozostawali tam tak długo, jak długo trwało panowanie Pasterzy w dolinie Nilu. Kiedy dynastię tę usunięto, Izraelici pod wodzą Mojżesza opuścili Egipt, zaczęli błądzić po pustyni i podbijać pomału Palestynę i narody, które osiedliły się tam przed nimi, a mianowicie Filistynów. Okres od śmierci Jozue aż do wstąpienia na tron Saula, pierwszego króla Izraela, wypełniły walki wewnętrzne. Po Saulu objął tron Dawid, który uczynił z Jerozolimy centrum swego królestwa i przekazał władzę Salomonowi, budowniczemu sławnej świątyni. Po śmierci Salomona (około 930 r. przed nar. Chr.) Palestyna została podzielona na dwa królestwa: Izraela i Judy. Następnie Chaldejczycy podbili Jerozolimę i Izraelici powędrowali w niewolę nad brzegi Eufratu, aż dopiero Cyrus — władca Babilonii — pozwolił im wrócić do Palestyny. Z kolei przeszli Izraelici pod panowanie macedońskie, a następnie Seleucydów syryjskich, którzy ich prześladowali za wiarę. Około 164 r. przed Chr. Żydzi wznieciIi powstanie i opanowali Jerozolimę, ale nie potrafili uniknąć wojen domowych, co pozwoliło Rzymianom na interwencję i uzależnienie królów Jerozolimy od protektoratu rzymskiego. W roku 70 naszej ery Jerozolima powstała przeciwko Rzymowi; została wówczas zdobyta przez Tytusa i doszczętnie zniszczona. Ostatnie powstanie zostało stłumione za Hadriana (135 r.). Od tego czasu Palestyna dzieli losy Syrii pod panowaniem bizantyjskim, arabskim, tureckim. W czasie wypraw krzyżowych tworzy krótkotrwałe królestwo jerozolimskie (1099—1187). Porozumienie francusko-angielskie w maju 1916 r., ratyfikowane przez traktat w Lozannie w 1923 r., oddało Palestynę pod mandat brytyjski.

Stosunki wewnętrzne

Palestyna zajmuje powierzchnię przeszło 26 tys. km² z ludnością około dwumilionową, z czego przeszło pół miliona stanowi ludność żydowska. Najgęściej zaludniony i zagospodarowany jest pas przybrzeżny, gdzie

Jerozolima — Góra Oliwna

też między Jaffą a Haifą znajduje się najwięcej wzorowo urządzonych kolonii żydowskich (tzw. kibuce). Nieużytki i pustynie zajmują w Palestynie 43,5% powierzchni, toteż nizina nadbrzeżna jest w całej pełni wykorzystana, a dzięki sztucznym nawodnieniom jest najbardziej żyzną częścią kraju. Ogrody pomarańczowe (pardesy), grappfruitowe i cytrynowe zajmują około 20 tys. ha. Owoce te są głównym artykułem eksportu. Uprawa drzew oliwnych rozprzestrzeniona jest w całej Palestynie, a specjalnie w Judei i Samarii, to także jedno z bogactw kraju (około 55 tys. ha). Winnice (około 18 tys. ha) znajdują się przede wszystkim w okolicy Jaffy i Jerozolimy i na nizinie Saron. Pod względem handlowym te trzy gałęzie uprawy stanowią największe bogactwo kraju.

Przemysł palestyński jest w większej części pochodzenia powojennego i rozwija się równolegle ze wzmożonym życiem miejskim i wiejskim spowodowanym imigracją żydowską. Przeważają małe przedsiębiorstwa o charakterze rzemieślniczym. W całym kraju jest doskonale rozwinięta sieć autobusowa.

Losy wojny 1939 roku rozproszyły Polaków po całym świecie, między innymi zagnały ich także do Palestyny. Oprócz świeżo przybyłych wygnańców znajdowała się tam już nieliczna kolonia naszych rodaków. Uchodźstwo polskie skupiało się głównie w Tel Avivie i Jerozolimie. Stosunki między ludnością żydowską a przybyłymi Polakami ułożyły się jak najlepiej. Społeczeństwo żydowskie serdecznie i szczerze przyjęło tułaczy, dając im nieomal na każdym kroku dowody sympatji. W wielkich miastach, jak Tel Aviv i Jerozolima, można było porozumieć się wszędzie po polsku. W kawiarniach i na dancingach brzmiały polskie melodie i polskie piosenki żołnierskie, a restauracje nęciły wywieszonymi w języku polskim spisami potraw i napojów. Być może, że przestawienie w owym czasie reklam na język polski było podyktowane względami handlowymi, niemniej jednak napisy takie, jak: „Bigos z kiełbasą", „Sznycle po wiedeńsku", „Wódka wyborowa" — robiły swoje a osamotniony na obczyźnie żołnierz polski czuł się prawie tak, jak u siebie w domu. W okresie tym napłynęło do Palestyny stosunkowo wielu Żydów — uciekinierów z terenów, na których szalało bestialstwo niemieckie, między innymi i z Polski i tym się tłumaczy doskonała znajomość stosunków polskich.

Tel Aviv

Tel Aviv (po hebrajsku: Miasto Róż) — najnowocześniejsze miasto Palestyny, a zarazem stolica

Jerozolima — Droga Krzyżowa

kraju — liczy obecnie ponad 150 tys. mieszkańców. Można śmiało powiedzieć, że jest to miasto na wskroś europejskie. Jest ono centrum przemysłu włókienniczego ale posiada również fabryki obuwia, czekolady, kremów kosmetycznych i farb. Istnieje tu fabryka sztucznych zębów na eksport.

Miasto położone nad samym brzegiem Morza Śródziemnego, — ma piękne plaże, wspaniałe hotele nadmorskie, kawiarnie i restauracje nęcące turystów pięknym położeniem i pomysłowością urządzeń.

Tuż obok leży Jaffa (około 80 tys. mieszkańców) ,która obecnie stanowi jak gdyby przedmieście Tel Avivu. Jeszcze do niedawna role były odwrotne; powstające Tel Aviv było przedmieściem Jaffy. Dziś jednak jest dwukrotnie większe i rozbudowuje się nadal. Jaffa — to port znany jeszcze w starożytności. Miasto, zamieszkałe przeważnie przez Arabów, stanowi wyraźny kontrast z Tel Avivem.

Haifa

Haifa (ponad 120 tys. mieszkańców) jest największym centrum przemysłowym Palestyny z imponującym przemysłem naftowym, cementowym i mydlarskim. W Haifie kończy się rurociąg, który ciągnie się na przestrzeni 1000 km, doprowadza naftę iracką z Haditha nad Eufratem do Haify (tzw. I. P. C. — Iraq Petroleum Co.).

Haifa jest ponadto największym portem Palestyny. Tu właśnie, po kapitulacji Włoch, zawinęły w październiku 1943 r. okręty włoskie, które przeszły na stronę aliantów.

Samo miasto zbudowane jest tarasami. Dolna część — to dzielnica portowa z pięknymi nowoczesnymi ulicami. Nieco wyżej jest położona handlowa część miasta i wreszcie na samej górze, wśród gęstwiny zieleni, wznoszą się wille, pensjonaty i małe hoteliki. Stąd też roztacza się wspaniały widok na dolną część miasta, na port i na zatokę. W porcie widok na kołyszące

Typ Beduina

się leniwie kadłuby zakotwiczonych okrętów, dochodzi z dala zgiełk miasta, a tu, na górze, panuje cisza, zmącona jedynie świergotem ptaków, rozchodzi się balsamiczna woń drzew iglastych, pokrywających stoki wzgórza.

Całość połączona jest linią autobusową, która łagodnymi serpentynami ciągnie się z dołu aż na sam szczyt miasta. Dla amatorów pieszych wędrówek są strome schodki, które prowadzą uliczkami miasta z dołu aż na górę.

Na południe od miasta wznosi się słynna z wspaniałego wina góra Carmel, cała pokryta lasami, z klasztorem na szczycie. Na północ od Haify leży miasto Acre — dawna twierdza krzyżowców.

Jerozolima

Miasto największych pamiątek — to Jerozolima, do niedawna stolica kraju, obecnie licząca ponad 130 tys. mieszkańców. Dziwna tu mieszanina stylów: obok nowoczesnych dzielnic z olbrzymimi wspaniałymi gmachami znajduje się Stare. Miasto z wąskimi uliczkami i budowlami, sięgającymi odległych czasów, — wystrzelają w niebo misterne wieżyczki cerkwi prawosławnych, wznosi się majestatycznie kopuła słynnego meczetu Omara.

Niewidoczna z daleka dla oka wśród otaczających ją budowli Bazylika Św. Grobu jest największą świętością wszystkich chrześcijan. Wszak to o posiadanie Grobu św. toczyły się w średniowieczu wojny krzyżowe z niewiernymi. Dalej należy wymienić jeszcze Drogę Krzyżową i Górę Oliwną z bazyliką narodów. Bazylika ta posiada wewnątrz szereg kaplic, które otaczają główną nawę, a uwypuklają się na zewnątrz. Zarówno główna nawa, jak i otaczające ją kaplice, posiadają oddzielne kopuły. Kaplice te zostały wybudowane i upiększone kosztem poszczególnych narodów, polskiej — niestety — nie ma.

W Jerozolimie istnieje „Dom Polski", prowadzony przez zakonnice. Przełożona, zwana powszechnie „mateczką", miała wielki mir nie tylko wśród Polaków, ale również wśród ludności żydowskiej, arabskiej i żołnierzy angielskich. Dom ten był przytułkiem dla każdego, kto przybywszy do świętego miasta na pielgrzymkę, po znojnym dniu szukał odpoczynku. Kuchnia, prowadzona na sposób polski, ściągała liczne rzesze naszych rodaków.

Mówiąc o Jerozolimie, nie można nie wspomnieć o leżącym niedaleko Betlejem, gdzie rokrocznie na pasterkę rozbrzmiewają słynne dzwony betlejemskie. W odległości 20 km na wschód od Jerozolimy znajduje się Morze Martwe (pow. około 980 km²), zawierające ze wszystkich na świecie mórz największy procent soli. Jedną z najpiękniejszych miejscowości wypoczynkowych w Palestynie jest Tyberiada z jeziorem Genezaret.

Haifa — Ulica Królewska

Cz 4239/dod. 30 1948

771 c 1921

LESZEK PROROK

Wady i zalety dyletantyzmu

Czy dyletantyzm może być twórczy?

Wydaje się, że w dzisiejszej dobie ścisłej specjalizacji, obejmującej wszelkie nieomal gałęzie pracy i twórczości, odpowiedź na powyższe pytanie wypadne zdecydowanie negatywnie. Wszak obecnie wymaga się od każdego rzetelnej znajomości zawodu, nieraz pojętego bardzo wąsko, określonych kwalifikacji, skoncentrowania zamiłowań na jednym przedmiocie, a to przecież stanowi zaprzeczenie tego wszystkiego, co zwykliśmy rozumieć pod pojęciem dyletantyzmu. A jednak...

A jednak odpowiedź może być nieoczekiwana, gdyż pozytywna. Dyletantyzm w pewnych, określonych warunkach może być twórczy i odegrać nawet znaczną rolę w wychowaniu estetycznym społeczeństwa.

Z zagadnieniem dyletantyzmu we wszystkich dziedzinach sztuki spotykamy się często tak w zakresie tworzenia, jak również odtworzenia dzieła artystycznego. Zjawisko to wywiera niewątpliwy wpływ na poziom kulturalny ogółu i stanowi ważki element wszelkiego szerszego planowania kulturalnego. Wypada zatem poświęcić mu kilka chwil uwagi. Szczególną okazję do podobnych rozważań nastręcza pojawienie się na półkach księgarskich rozprawy o dyletantyźmie w sztuce znanego psychologa, prof. St. Szumana p. t. „Pochwała dyletantów". (Inst. Wyd. „Sztuka" W-wa str. 60). Niewielka lecz treściwa rozprawka ujmuje problem dyletantyzmu i jego społeczne znaczenie w kilku przekrojach: plastycznym, muzycznym, literackim i aktorskim. Mimo wspólnych cech psychologicznych każdy z przekrojów wykazuje swoiste właściwości i perspektywy.

Lecz nim przejdziemy do szczegółowych rozważań, należy ustalić, co najogólniej należy rozumieć pod pojęciem dyletantyzmu.

„Dyletant jest człowiekiem, który kocha sztukę bez wzajemności — stwierdza prof. Szuman — nie należy do jej wybrańców, ale jest jej wiernym sługą i jako taki czuje się szczęśliwy". Szczęśliwy oczywiście wtedy tylko, gdy posiada poczucie proporcji własnych możliwości. Gdy brak uznania dla prób artystycznych, będących wyrazem potrzeby aktywności w tej czy innej gałęzi sztuki, nie napoi go goryczą. Tacy dyletanci zarzucają z czasem swą działalność, bądź uprawiają ją dla własnej przyjemności. Inaczej dzieje się oczywiście z jednostkami, którym megalomania każe odgrywać z uporem, godnym lepszej sprawy, rolę zapoznanych i zawiedzionych wielkości. Dyletant pierwszego rodzaju dąży do ideału, jakim jest utwór doskonały, lecz osiągnąć go dla braku warunków nie jest w stanie. Nie znaczy to, by na swej drodze nie czynił postępów, by nie dochodził do tych czy innych osiągnięć.

Często dyletantów od artystów dzieli tylko różnica ilościowa, a nie jakościowa w zespole możliwości i warunków, które sposobią jednych i drugich do pracy twórczej. Prof. Szuman proponuje wprowadzenie bardziej wyrazistego podziału na ludzi o „naturze artystycznej" i o „naturze nieartystycznej".

O ile chodzi o sztukę dyletancką można ją rozbić również na dwa rodzaje — sztukę samorodną, oryginalną i zależną, naśladowczą. Do pierwszej należy pierwotna twórczość malarska czy aktorska dzieci, sztuka ludowa oraz dzieła tzw. talentów samorodnych, nazwa drugiej określa ją dostatecznie.

O ile twórczość literacka jest z natury swej samorodna — nie można się nauczyć pisania utworów literackich — o tyle dyletantyzm w tej dziedzinie bywa najczęściej naśladownictwem języka i konstrukcji wzorów literackich, co przepaja go sztucznością. Nie jest to oczywiście reguła, zdarza się bowiem literacki dyletantyzm samorodny, zwłaszcza u młodzieży dorastającej.

Analizując rodzaje zjawiska w zależności od gałęzi sztuk prof. Szuman dochodzi do wniosku, że dyletantyzm rzetelny odgrywa w sferze kulturalnej społeczeństwa rolę na ogół pozytywną. Rzetelnym zaś dyletantyzm pozostaje tak długo, póki sztukę i ideały twórcze, a nie własną osobę dyletanta wysuwa na pierwszy plan.

Dodatni wpływ kulturalny sprowadza się przede wszystkim do oddziaływania wychowawczego. I tak w zakresie malarstwa i rysunku nauczy coraz lepiej dostrzegać rzeczy i zjawiska. Nauczy patrzeć i widzieć. Rozwinie upodobanie do form i kształtów pięknych. W społeczeństwie dyletantów twórcy artyści mogą liczyć na znacznie większe zrozumienie swej sztuki, niż w świecie życzliwych laików. Odnosi się to do wszystkich rodzajów dyletantyzmu.

Podstawową różnicą, dzielącą twórczość literacką dyletancką od artystycznej jest rozbieżność w dysponowaniu językiem, niewymierzalne quantum talentu. Cechą języka artystycznego jest jego oszczędność przy zachowaniu bogactwa obrazu nakreślonego.

Dyletanci piszą rozwlekle, zbyt obficie, przy jednoczesnym zachowaniu ubóstwa języka. Nie umieją zdobyć się na selekcję szczegółów zbędnych, nie umieją uwypuklić szczegółów istotnych. Treść konstrukcyjna roztapia się w ich pracach w nadmiarze opisu, by mógł wiązać jak zaprawa murarska.

Wady te nie są absolutne i nieuleczalne. Przy wielkim wkładzie pracy i ścisłej kontroli ze strony doświadczonego wychowawcy można je sprowadzić do granic poprawności. Nie obciążają one zazwyczaj talentu samorodnego, który sam wyzwoli się prędzej czy później (lecz też nie bez usilnej pracy) spod przemocy opornego tworzywa językowego. A zatem i tu dyletantyzm może przekształcić się w rzetelną twórczość chociażby na poziomie rzemiosła, jeśli nie sztuki. Zresztą nie brak w literaturze przeskoków od tej miłości nieodwzajemnionej dla sztuki aż do szczytów artyzmu. Świadczy o tym przykład Conrada, który po długim i bogatym życiu zawodowym odnalazł w sobie obok żeglarza twórcę, zaś z przykładów pomniejszych, lecz bliższych nam w czasie, przedwojenne debiuty pisarskie Sergiusza Piaseckiego, Ukniewskiej, Worcella. To były jednak talenty samorodne, którym krótki nieraz okres dyletantyzmu był potrzebny dla krystalizacji i samowiedzy. Pozostańmy w rozważaniach przy tych, którzy poza mniej lub więcej rzetelny dyletantyzm nie wykroczą.

Twórczość pisarska dyletantów posiada w zakresie oddziaływania na kulturę znacznie mniejsze znaczenie, niż ma to miejsce na niwie muzycznej, malarskiej, czy nawet scenicznej. Rozbijając twórczość na artystyczną i estetyczną, dojdziemy do wniosku, że w zakresie tej drugiej dyletant muzyk, plastyk, czy aktor wniesie nieraz nowe pozytywne wartości, choćby w zakresie wykonania i interpretacji utworu. Tych możliwości literatura na ogół nie daje. Tu w największej mierze zagraża obniżenie poziomu przez dyletantyzm.

Lecz istnieje dziedzina, w której również dyletanci-literaccy mogą okazać się pożyteczni. Rekrutują się oni najczęściej, poza młodzieżą, z przedstawicieli różnych zawodów, którzy w podejmowaniu prób pisarskich odnaj-

(Dalszy ciąg na stronie następnej)

WACŁAW KUBACKI

Uroczystości mickiewiczowskie we Włoszech

Stulecie „Wiosny Ludów" oprócz ogólnego znaczenia historycznego i społeczno-politycznego, jakie ma dla innych narodów, posiada dla nas Polaków także znaczenie specjalne. Rocznicza ta bowiem wywołuje wspomnienie wielu naszych sławnych poetów, pisarzy, dowódców, mężów stanu i działaczy politycznych, którzy związali swe nazwiska z europejskim ruchem rewolucyjnym. Pośród tych nazwisk najsilniejszym blaskiem błyszczy niewątpliwie nazwisko największego poety Słowiańszczyzny, Adama Mickiewicza. Nic tedy dziwnego, że polskowłoskie uroczystości, poświęcone rocznicy „Wiosny Ludów" brały Mickiewicza za swój punkt środkowy albo zgoła ograniczały się do rozważań nad postacią i działalnością twórcy Legionu Polskiego we Włoszech.

Do Włoch wyjechałem jako delegat „Ogólnopolskiego Komitetu dla uczczenia stulecia „Wiosny Ludów", aby reprezentować Polskę na uroczystościach rocznicowych i wygłosić kilka prelekcyj o Mickiewiczu. Rzym, gdzie Mickiewicz zawiązał swój Legion, na którego czele ruszył do Lombardii na przyszłe pole walki, uczcił poetę akademią, urządzoną na Kapitolu. Akademia była dostojna, posiadała jednak nieprzyjemny posmak polityczny, ponieważ włoskie sfery prawicowe starały się ją wyzyskać dla celów, nie mających nic wspólnego z 1848 rokiem i z charakterem działalności naszego wieszcza. Oburzyło to lewicę włoską i doprowadziło do polemik prasowych. Przyjemny był natomiast fakt inny: oto zarząd miejski Rzymu postanowił uczcić pamięć Mickiewicza przez nazwanie jego nazwiskiem jednej z ulic.

W rzymskiej uroczystości nie zdążyłem zresztą wziąć udziału, choć leciałem do Włoch samolotem. Okazało się, że ceremonie paszportowo-dewizowowizowe z powodzeniem równoważą rozwój nowoczesnych środków lokomocji i skutecznie nie dopuszczają do nadmiernie pośpiesznego tempa życia. Przeskok był zresztą dla podróżnego wystarczająco duży: ze śnieżycy w Warszawie na zalane palącym słońcem rzymskie lotnisko, na ulice przybrane festonami kwitnących glicynii, pełne wiosennego ruchu i wiosennych kreacji mody.

Nie tylko wiosna była przyczyną ogólnego ożywienia, czy nawet podniecenia we Włoszech Zbliżające się wybory także podniosiły temperaturę. Okres przedwyborczy unieruchomił mnie na parę tygodni w Rzymie, albowiem z obawy przed nieprzyjazną sobie agitacją rząd włoski nie dopuścił do żadnych akademii i odczytów w tym czasie, rezerwując wszystkie sale rzekomo dla obywatelskich zebrań politycznych. Dopiero w końcu kwietnia zacząłem serię Mickiewiczowskich prelekcyj od Mediolanu. W ciągu sześciu tygodni objechałem Włochy od Lombardii do Sycylii i wygłosiłem dziewięć odczytów. Trasę ułożył i pierwsze przygotowania poczynił attaché kulturalny w Rzymie dr Roman Brandstaetter, a po jego wyjeździe do kraju organizację przejął attaché prasowy Ryszard Landau, urzędnik ambasady dr Aleksander Kołtoński i konsul w Wenecji dr Stefan Płoński.

Patronowały odczytom, udzielając swych sal i auli towarzystwa przyjaźni polsko-włoskiej, uniwersytety, instytuty naukowe, akademie nauk i domy kultury. W Mediolanie zagajał uroczystość Mickiewiczowską tłumacz „Faraona", Maffezzuoli. W Wenecji rusycysta prof. Gasparini, w Padwie slawista prof. Cronia, w Bolonii dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Battaglia, we Florencji językoznawca prof. Devoto, w Cagliari dziekan Wydziału prof. Mosso, w Neapolu dyrektor Instytutu Wschodniego prof. Cavallucci, w Katanii rektor Libertini, w Messynie rektor Martino.

Mówiłem do publiczności włoskiej o tym, czym były Włochy dla Mickiewicza. Przedstawiłem wpływ włoskiej literatury, kultury i myśli teoretyczno-krytycznej na rozwój Mickiewicza, znaczenie włoskich podniet i przeżyć dla Mickiewicza twórcy i doniosłość włoskich doświadczeń społecznych i politycznych dla Mickiewicza dojrzałego, działacza z roku 1848 i publicystę po Wiośnie Ludów. Wszędzie spotkałem się z bardzo serdecznym przyjęciem, co zapisuję na dobro organizatorów i naszych włoskich przyjaciół.

Odczyty w Wenecji, Padwie i Bolonii zamieniły się w manifestację przyjaźni polsko-włoskiej. Nadzwyczaj miło i ciepło wypadła uroczystość Mickiewiczowska w Neapolu, w której wziął udział ambasador Rzeczypospolitej Adam Ostrowski. W Mediolanie prelekcja zgromadziła licznych naszych przyjaciół włoskich i niemało rodaków, którzy z ciekawością przyszli zobaczyć, jak wyglądają ludzie przybyli z nowej, „legendarnej" Polski, o której tyle okropnych rzeczy opowiadają im nasi wrogowie. Przyjaciół i sympatyków włoskich, interesujących się naszym krajem i żądnych nowych wiadomości o Mickiewiczu znalazłem także na Sycylii i na Sardynii. Ne tylko Padwa i Bolonia, związane z nauką i literaturą polską wiekami tradycji, lecz także uniwersytety mniejsze, peryferyjnie położone, wyrażały życzenia ściślejszej, kulturalnej współpracy i wymiany polsko-włoskiej.

Wszędzie spotykałem zarówno żywe zainteresowanie naszą współczesnością, naszymi zniszczeniami wojennymi i naszą odbudową, naszą rewolucją i przebudową społeczno-polityczną, jak żywą pamięć o naszej przeszłości, o naszych walkach wyzwoleńczych i bohaterach narodowych. Mickiewicz dla Włochów, podobnie jak dla nas, jest wcieleniem naszego geniuszu narodowego i symbolem ogólnoludzkiego pędu do wolności i sprawiedliwości społecznej.

TEODOR ŚMIEŁOWSKI

SEN NOCY LETNIEJ...

Spoza wysmukłych topól, jak wśród kolumn z kruszcu,
Wystrzelił dom pokryty płaskorzeźbą bluszczów.

Jaskółki — czarne liście — sypały się z dachów,
Rozchybotanym cieniem ugrzęzły na piachu.

W lesie wiewiórki harce wyprawiały chyże
Gdzie szpak — wiejski muzykant — serenady gwiżdże.

Po bladej ścianie willi piął się kształt balkonu,
Zdając się balustradą sięgać nieboskłonu

Gdy w drzwiach się ukazała samotna kobieta,
Podkradał się jak złodziej w zaroślach — poeta.

Wyławiał chciwym uchem westchnienia dziewczyny,
I zapisywał w sercu — nadźwięczniejsze rymy.

Dziewczyna ciszą nocy usnęła — znużona,
Nie czując, że poeta z melancholii kona.

Żaby po stawach skrzypce stroiły ze łkaniem
I napełniały ogród muzycznym kumkaniem.

Świerszcze na przekór żabom grały antyfonę
I pisały z poetą letniej nocy sonet.

STANISŁAW WITOWSKI

Żniwa

(Rozdział powieści pt. „Uroki lata")

Z kosami na ramieniu kroczymy uroczyście długą wiejską ulicą. Rozglądamy się dokoła. — Dymy niebieskie wychodzą z sadów zielonych i świecą w słońcu. Z gąszczów pachnie jeszcze rześko rosa. Od kos połysku mieni się cała ulica. Wszyscy uśmiechają się do siebie, krocząc dostojnie. — Tam, do końca wsi, gdzie przestwór zda się otwiera, leje ognisty potop. W świetle tym ciemnieje łagodnie figura Matki Boskiej. Wyciąga ręce w kierunku wsi, jakby ją całą zapraszała na pola.

W istocie kroczymy tam, pełni dziarskości i zdrowia. Kosy jak skrzydła wahają się nam u ramion. W ten sposób idzie wesele, kroczy moc. Oczy nie mogą się dosyć napatrzeć świetlistości powietrza, złotawej bieli zbóż, które jak piana lekuchna stoją na polach. Niebawem zgarną je kosy, więc pewien smutek jest w nich, melancholia — w schylonych srebrzystych kłosach.

Schodzimy w końcu z drogi na miedzę i nią dalej zagłębiamy się w pole. Tu kosy z ramion, kurtki na ziemię... Ująwszy w rękę osełki, zaczynamy nimi pocierać modre żeleźce. — Brzęk, brzęk, brzęk! — leci po śniadych łanach, gdy w dalszym ciągu rozglądamy się po świecie. Za nami z sierpami w ręku przystanęły dziewczyny. I one wsłuchane są w lśniących ostrz szorstką muzykę. Pachnie jeszcze rosą od ziemi i wilgotnymi ziołami. Coraz ogniściej doskwiera słońce. Blask jego zwolna robi się szklisty, przestwór bieleje powoli. Upał dziś będzie straszny.

Wszystko to zauważywszy, wkładamy za siebie w „kurzaje" osełki i zaczynamy kośbę. Pierwszy pochylił się Stefan i zamachnął szeroko, rozkraczywszy nogi. Za nim stanęła Zośka. — Szach, czach — przemówiła ostro kosa, kłosy drgnęły i obaliły się na "ścianę". Zośka pochyliwszy się, zaczęła je zbierać sierpem, sunąc po ziemi nogami. Na mnie kolej. Postąpiłem parę kroków, za mną Irenka...

Odtąd już dwie kosy nuciły na zmianę. Pola ogarnęła cisza. Zdawały się nasłuchiwać melodii śmierci, ścieśniać się, zwierać z niepokoju. Tylko polne koniki dzwoniły nadal srebrzyście i tęskno. Żałosną piosenką żegnały swój raj świetlisty.

Kosiliśmy zapamiętale. Stopniowo zaczął nam oczy zalewać upał. Twarze poczerwieniały, zwłaszcza twarz Zośki. Wszyscy błyszczeliśmy z upojenia i gorąca. Toć to żniwa, największe święto w roku. Człowiek po prostu kołysze się jak w tańcu, kosa tak lekko wchodzi w żyto... Zabawa to, a nie praca, posuwisty raczej obrzęd — w woni zbóż, w świetle, w upale. Można by tak kosić z zamkniętymi oczyma. Bujność to, swoboda, nienasycona namiętność. Człowiek wdycha i wydycha zdrowie.

Dochodziła godzina może dziesiąta, upał coraz jaśniejszy zatapiał nam oczy i pola, gdy na zielonej dróżce pojawiła się Janka, pędząc przed sobą białe stadko gęsi. Zobaczywszy nas z bliska, przystanęła zdziwiona.

— Co? Ojca jeszcze nie było? Wyszli przecież przede mną ze śniadaniem...

— Wyszli, ale nie doszli. Widać wstąpili do „kowala" jak zwykle mruknął Stefan, opierając o ziemię kosę. — Dam ja im, ino tu przyjdą na pole.

W istocie po chwili krzesny ukazał się zza żyta. Stąpał lękliwie, przeczuwając burzę. Sądził, że Jankę uprzedzi, a tu masz, psia kreszka... Nastroił, wchodząc na ściernisko, płaczliwą minę, powlekając „bolejącą" nogą. Stefan jednak nie dał się tym przejednać i huknął na ojca z góry:

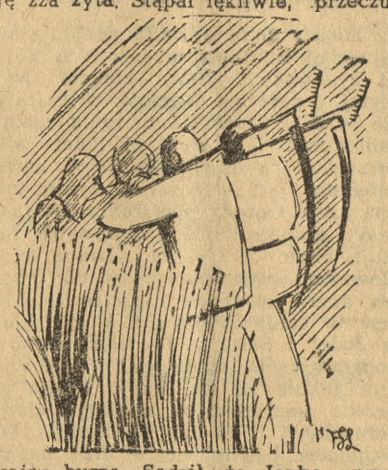

— Gdzieżeście to łazili do tej pory, co?!

Ady cicho Stefan — zaczął krzesny, stawiając na ziemi bańkę z kawą i koszyk z chlebem. Musiałem wstąpić do kowala wedle pługa. Wiesz przecie, że trzeba będzie zaraz podorywać ściernika.

— Tak? Wiem ja dobrze, co to za kowal. Chodźcie no tu bliżej, czy nie czuć od was wódki. Ze sklepiku idziecie, co?! — wołał zbliżając się do ojca groźny, z pochyloną jak do uderzenia głową. — Chuchnijcie ino.

— Idź do diabła! — wrzasnął naraz odskakując krzesny. — Jeszcze mnie zahaczysz tą kosą — dodał łagodniej. — No, jedzta śniadanie, a ja pójdę zobaczyć, czy tamto żyto przy granicy będzie można kosić po południu.

Odszedł dość żywo, zapomniawszy całkiem o nodze. Lecz oto z nagła sobie przypomniał, bo znienacka stanął, ujął się za kolano... Wiedział, że za nim spoglądamy, chciał wzbudzić litość, ale gdyby się obejrzał, dostrzegłby tylko uśmiech. Najgłośniej śmiała się dziesięcioletnia Janka, wskazując idącego obok łanu żyta ojca. Z daleka przedstawiał się w słońcu jak żywy strach na wróble.

— Patrzcie, jak to udawają... Myślą, że kto głupi i uwierzy. Żeby tak zając wyskoczył z bruzdy — jeszcze by go dogonili, chociaż tak, to niby ledwie chodzą. Hi, hi, hi!

— A kto wie, może oni naprawdę są chorzy — powiedziała zamyślona Zośka, czulsza dla rodziny z powodu bliskiego wyjazdu do Francji.

— Są chorzy! Wy obie z matką głupie im wierzyta. Niech tylko ich nikt nie widzi, wtedy umieją się zwijać — upewniała Janka, nalewając nam w kubki kawę, gdy spoczęliśmy pod mendelem. Uśmiechnęliśmy się tylko na to z Irenką, spoglądając za krzesnym, który był już daleko. Zakrywał go prawie do ramion biały łan żyta, paliło natrętne słońce. On niby spoglądał na kłosy, kruszył je, wyjadał ziarno, a w istocie myślał:

— Psia kreszka. Nie dadzą ojcu wypić nawet we żniwa. Ścierwo! Byłby ode mnie poczuł, gdybym nie uskoczył w porę — myślał o Stefanie. Wyjął cebulę z kieszeni i zaczął ją żuć bezzębnymi szczękami. Wynalazł ten sposób na przytłumienie zapachu wódki. Przegryzłszy, powracał, przystając co trochę po drodze. Wreszcie doszedł jednak do nas. Spoczął opodal na snopie, zbierając pod siebie ostrożnie nogi, i rzekł:

— Skończyta do południa, to możecie tam od razu przechodzić. Ziarno jeszcze jare, ale dojdzie na słońcu w mendelach.

Zaczął wyjadać nowy kłosek, spoglądając z wyrzutem na syna. Lecz Stefan nie wiele przejmował się „boleścią" ojca. Wiedział, że mówi prawdę. Dopiero gdy zjadł i odpoczął, odezwał się do starego:

— No ojciec, dajcie teraz papierosa.

— Mam sam chociaż jednego! — warknął poprawiając nogi krzesny. — Skąd to wezmę, gdy we wszystkim mnie śledzita — dodał z ubolewaniem. — Sam jeno na bórg wezmę jednego „Tryumfa", gdy wyjdę na wieś. Ciągle na mnie wszyscy huru buru jak na tego Łyska — westchnął sięgając do kapelusza, by obetrzeć z czoła pot. Zaśniła w słońcu łysina i nagle...

Posypały się jeden za drugim papierosy — cała rozklejona pod kapeluszem paczka „Triumfów". Janka na ten widok wybuchnęła śmiechem, zaś krzesny rzucił się na rozsypane papierosy jak wilk na wydzierane z barłogu kości. Gniewny był przy tym, że tak sam siebie odkrył — wsypał dosłownie.

— Ha, ha, ha! — śmiała się Janka. — A mówiliście, że nie macie ani jednego Pan Bóg was skarał za to. Widać znów podebraliście gdzie kurę.

— Idź ty głupku! — burknął krzesny, pozbierawszy papierosy. — Dla chłopaków umyślnie przywiozłem z Kalisza na żniwa.

WIEDZA DLA WSZYSTKICH

Przegląd kulturalny

Jedna z najruchliwszych instytucji szerzących oświatę i kulturę, to „Czytelnik". Poza akcją wydawniczą książek i czasopism pracuje nad popularyzacją słowa drukowanego organizując na wielką skalę czytelnictwo w terenie. Poznański Wydział Kultury i Sztuki „Czytelnika" pod dyr. insp. Dorożały posiada w województwie i na Ziemi Lubuskiej 102 koła „Czytelnika", w tym 36 wiejskich. Aby obsłużyć książkami członków, uruchomił 36 biblioteczek wędrownych. Są to komplety po 50 książek, dobrze oprawionych, w zgrabnych szafkach, które służą od razu jako opakowanie wędrownym kompletom. Poza tym wypożyczają koła wprost z centralnej biblioteki w Poznaniu komplety od 10 do 30 książek. Wypożyczalnia Poznańska przy ul. Focha 14, mimo pory letniej obsługuje około 100 osób dziennie. Od jesieni biblioteka powiększy się najmniej o 1000 tomów nowości.

W czerwcu zakończono w Poznaniu trzy kursy oświatowe zorganizowane przez „Czytelnika", a były nimi: kursy języków obcych, księgowości i doskonalenia zawodowego dla metalowców. A więc o najrozmaitszych tematach. „Czytelnik" prowadzi także świetlice, ma ich 28 i zaopatruje je bezpłatnie w czasopisma. Dziedzina sztuki również nie jest obcą wszechstronnie nad kulturą pracującej instytucji. W czerwcu wygłosił insp. Dorożała 6 prelekcyj o Moniuszce ilustrowanych płytami gramofonowymi w różnych małych miejscowościach prowincji. Na Krajową Naradę Działaczy Kulturalno-Oświatowych w Warszawie, w dniach 27 i 28 czerwca, wysłał oddział poznański 46 delegatów i 35 pełnomocników, tak że posiada najliczniejszą grupę reprezentantów ze wszystkich województw Polski. Sprecyzowała ona swoje postulaty w 4 głównych punktach: 1. Szerszego niż dotychczas traktowania wydawnictw dzieł naukowo-technicznych, 2. wskrzeszenia wydawnictwa „Kultura i Książka", 3. wydania popularnie Żeromskiego i Prusa. 4. organizowania konkursów dla wyławiania talentów ze sfer rzemieślniczo-robotniczych. Z okazji tego zjazdu ogólnopolskiego występował poznański chór „Arion" zyskując wielkie uznanie.

Urzędowo sprawami kulturalno-oświatowymi dla dorosłych zajmuje się tzw. Wydział O. i K. D. (Oświata i Kultura dorosłych) przy Kuratorium Szkolnym. Niedawno odbyła się czterodniowa konferencja w Poznaniu pod przewodnictwem naczelnika K. Chorążego dla spraw tego resortu. Obejmowała ona część sprawozdawczą i programową. Stwierdzono, że program nakreślony na początku roku ubiegłego został w 100 procentach wypełniony, dzięki ofiarnej pracy nauczycielstwa i inspektorów w terenie oraz pozytywnego stanowiska samorządów terytorialnych. Wynikało z niego, iż na kursach systematycznego kształcenia uczyło się ponad 56 846 osób w formach pracy oświatowo-artystycznych (świetlicowych, teatrach ludowych, chórach) pracowało 27 935 osób. Na uniwersytetach powszechnych i ludowych 1254 osób, w akcji przygotowania czytelniczego 2685 osób. Są to już cyfry bardzo pokaźne świadczące, że akcja upowszechniania kultury i oświaty — wielka troska dzisiejszego pokolenia — postępuje naprzód. W jednym z następnych Przeglądów Kulturalnych opowiemy o owocnej pracy uniwersytetów ludowych, a tymczasem parę jeszcze wiadomości z bieżących zdarzeń w świecie kulturalno-artystycznym.

11 lipca odbył się w Puszczykowie wielki zjazd śpiewaczy. — Pięknie rozwijający się Wlkp. Związek Śpiewaczy wykazał się na nim osiągnięciami bardzo pozytywnymi. 24 zespoły męskie i mieszane w liczbie około 2000 uczestników wykonały urozmaicony repertuar pieśni regionalnych. Jury artystyczne zorganizowanego w ramach zjazdu turnieju chóralnego wyróżniło dyplomem Koło Śpiewacza „Bard" z Lubonia pod dyr. Zagrzeby.

Przez dwa tygodnie kabaret literacki „Syrena" z Łodzi, na gościnnych występach w Poznaniu bawił i cieszył publiczność dobrym repertuarem satyrycznym wykonanym przez doskonałych artystów.

Instytut Badania Starożytności Słowiańskich sygnalizuje nowe interesujące odkrycia.

AMELIA ŁĄCZYŃSKA

Poznańscy badacze gwiazd

Kto w przedwieczornej, odpoczynkowej godzinie wałęsając się po mieście zabłąka się aż na daleką Słoneczną ulicę — zdumiony przeczyta na tabliczce przymocowanej do siatki okalającej bujny ogród, napis: „Obserwatorium astronomiczne U. P.". Niech pchnie furtkę i niech wejdzie w krainę „badaczy gwiazd". W pięknym pałacyku mieszkają tu w ciszy, skupieniu i oderwaniu od dalekiego, tramwajami brzęczącego miasta.

Poznańskie obserwatorium było pierwszym w Polsce. Założył je ksiądz Rogaliński przy kolegium jezuickim i wyposażył w narzędzia, które były darem Marii Leszczyńskiej, królowej francuskiej, wykonał je słynny mechanik Canivet w Paryżu. Przywiózł je ks. Rogaliński do kraju i już około r. 1760 zaczyna pierwsze badania wraz z uczniami swymi: Janem Paprockim, A. Gawrońskim, Sionest i de la Borde. Niestety już w r. 1772 spaliło się obserwatorium, narzędzia jednak uratowane zostały. Po kasacie zakonu Jezuitów wywiózł je ks. Rogaliński do Krakowa i oddał w opiekę Janowi Śniadeckiemu, a z nimi razem grubą księgę w pergamin oprawną — manuskrypt własnych obserwacji. Śniadecki użył tej księgi, tylko w części zapisanej, dla spisywania swoich również obserwacji i jako kart dla interesującego osobistego pamiętnika. Owa księga jak też i narzędzia ks. Rogalińskiego znajdują się dziś jeszcze w Krakowie, a należący do kompletu starodawny zegar Lepant'a jest na chodzie. Przez półtora wieku nie miał Poznań swego obserwatorium, dopiero w r. 1920 Uniwersytet Poznański zaprosił prof. Graffa, Polaka — poznańczyka — obserwatora w Bergedorf pod Hamburgiem do zorganizowania wydziału astronomicznego i obserwatorium w Poznaniu. Prof. Graff bardzo jednak zaawansowany w pracy naukowej nie mógł się wyrzec doskonałych przyrządów, którymi dysponował za granicą — dla prymitywniejszych w kraju. Przyjechał jednak, wybrał odpowiednie dla obserwatorium miejsce, właśnie ów folwarczek po Palaczach, ofiarował pewną ilość narzędzi i trochę książek jako zaczątek biblioteki, sam zaś objął dyrekcję obserwatorium we Wiedniu, usunięty za czasów hitlerowskich, obecnie wrócił na swe stanowisko. Poznań ofiarował wówczas

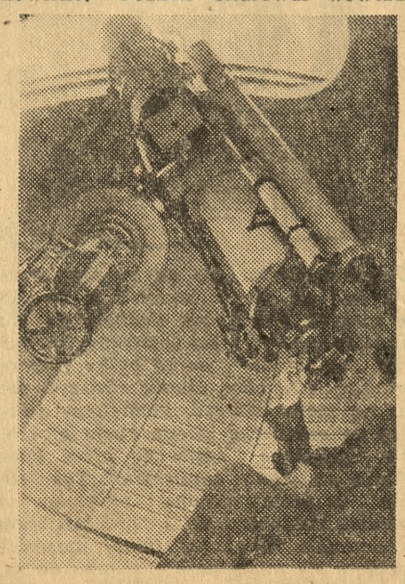

Jak przyjemnie popatrzeć przez lunetę w Poznańskim Obserwatorium Astronomicznym
Fot. (2) E. Kitzmann

katedrę prof. Bohdanowi Zaleskiemu, długoletniemu obserwatorowi w Pułkowie pod Leningradem. Objął on katedrę w r. 1922 i sprawował jej funkcje do śmierci swej w r. 1927. Przez dwa lata wakowała katedra, aż w r. 1929 powołany na nią został prof. Józef Witkowski z Uniw. Jagiellońskiego i z przerwą wojenną, dotychczas ją

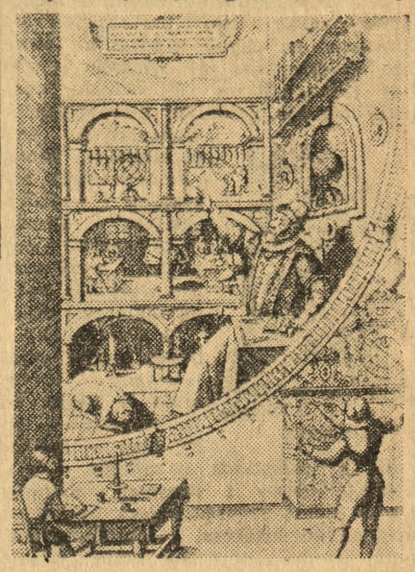

Kartka z ryciną ze starego atlasu gwiezdnego w Poznaniu

zajmuje. Współpracownikami obserwatorium są dwaj adiunkci: dr Koebcke, dr Wierzbiński i mgr Hurnik. Wszyscy astronomowie mieszkają i pracują w tym samym budynku. Żadna bowiem inna nauka nie wkracza tak przemożnie w życie swego adepta jak astronomia, która nawet na sen mu nie pozwala. Toteż powiedział raz jeden uczony na zjeździe w Paryżu: „Życie astronoma nie można pogodzić z małżeństwem". Gwiazdy są zazdrosne i bardzo zaborcze. Niemniej uczeni nasi są żonaci, a czy ich żonom zawód mężów dogadza — nie miałam sposobności zapytać. W gabinecie stoi otomana, aby strudzony badacz mógł choć czasem głowę do poduszki przyłożyć w obliczu gwiazd.

Obserwatorium poznańskie jest najnowocześniej urządzonym spośród trzech obecnie w Polsce znajdujących się (Kraków i Wrocław mają jeszcze obserwatoria). Niemniej poziom polskich obserwatoriów jest raczej dydaktyczno-szkoleniowy i do obserwacji na większą skalę brak im odpowiedniego instrumentarium. Pilną potrzebą astronomii polskiej jest urządzenie dużego centralnego obserwatorium z dogodnymi warunkami. Wierzymy na słowo, że instrumenty, które widzimy przed sobą są niewystarczające, ale nam, laikom, wydają się cudami techniki.

Zatrzymujemy się w sali zegarowej, gdzie uderza nas z miejsca widok wskazówek na zegarze gwiezdnym, oznaczających godzinę drugą, podczas gdy się już ma ku wieczorowi. — Otóż — tłumaczą nam — różnica między miarą czasu gwiazdowego a słonecznego wynosi 4 minuty na dobę, w ciągu roku, równo dobę tak, że raz do roku schodzą się wskazówki obydwóch zegarów. Zegara elektrycznego się nigdy nie przestawia, idzie wciąż z niezmienną precyzją. Wahadło jego umieszczone jest w cylindrze z wypompowanym powietrzem 6 metrów pod ziemią w idealnie równej temperaturze. Zegar zawieść nie może.

W bibliotece pokazuje nam mgr Hurnik atlas gwiezdny. Podczas, gdy sto lat temu na podstawie bezpośrednich badań ustalono położenie i skatalogowano około 600 000 gwiazd, teraz przy pomocy fotografii i najnowszych instrumentów atlas obejmuje miliony pozycji, a katalog ich ujęty w olbrzymie tomy przedstawia się w kolumnach cyfr, cyfr i tylko cyfr. Proszę sobie wyobrazić książki bez liter, książki pisane cyframi! Może się od nich w głowie zakręcić.

Ale najpiękniejszym i najciekawszym elementem obserwatorium jest sama luneta refraktor, w wieży poza gąszczem drzew osobno stojącej. Długość lunety wynosi 3 metry, średnica objektywu 20 cm. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wchodzę do świątyni i że potężna luneta, tak łatwo chodząca na osiach i posłusznie służąca ludzkiemu oku jest czymś boskim łączącym nas z nieznanym.

Mgr Hurnik wybiega na ruchome schodki i pociśnięciem guzika rozsuwa drewnianą kopułę, jak wielką pionową powiekę i w daleki księżyc, widny już na niebie, celuje uważnie badawczo olbrzymie oko. Gdy i my z kolei do niego przykładamy swoje słabe — ze zdumieniem spostrzegamy, że księżyc płynie tak szybko po niebie, że nieustannie wymyka się nam z pola widzenia. Oto mamy jak na dłoni ruch ciał niebieskich!

Oszołomieni schodzimy ze schodów i dopiero teraz rozumiemy, że jednak ta trudna matematyczna wiedza może mieć swoich zapaleńców, a ponieważ nie daje żadnych korzyści materialnych, astrologiczne kabały zrzuciła ze siebie — od nielicznych jednostek, które się jej poświęcają wymaga wielkiej i nieustannej ofiary — tworzy z nich zakon „badaczy gwiazd", międzynarodowy, międzykontynentowy, może kiedyś — międzyświatowy!

Panowie, czy nie szkoda papieru?

(Felieton kulturalny)

Wziąłem niedawno do ręki jeden z tygodników społeczno-literackich: Wiadomości ze świata kulturalnego, nowela, odcinek powieściowy i — polemika. Bite pół strony. Treść: co znany literat i publicysta napisał o innym mniej znanym panu, też publicyście, i dlaczego. Że tamten tego ceni, że go lubi, ale... Po prostu sprawy osobiste, personalne. Doskonale by je można zamknąć w prywatnym liście. Po co aż szukać łamów pisma i interesować nimi czytelników. Czy to naprawdę aż takie ważne, co pan X powiedział, a czego nie powiedział i dlaczego o panu Y?

Tu rzeczywiście trzeba by się zapytać, czego szuka przeciętny czytelnik w tygodniku i co mu tygodnik daje. Czytelnik, podkreślam, nie wyczulony snob, ale ktoś z masy ludzi inteligentnych żądnych drukowanego słowa, podanego w strawnej i estetycznej formie.

Otóż ten czytelnik, który szuka w tygodniku ciekawych dla siebie wiadomości, rozwijających jego intelekt i wzbogacających wiedzę — znajduje polemikę. A cóż to jest dziś, proszę państwa, polemika? W miarę inteligentne, w miarę kulturalne wykłócanie się speców lub nawet i niespeców o drobiazgi. Temat takiej literackiej kłótni bardzo często obcy jest czytelnikowi, który musi śledzić tylko spór, a nie zna dobrze tematu. Ot, choćby i we wspomnianym tygodniku... że pan X powiedział o panu Y to a to, że się pan Y temu dziwi i z tego śmieje, bo on zwykł dyskutować z ludźmi poważnymi, że właśnie on sądzi właściwie, bo — mimo, że pan X jest znaną firmą w świecie literatury, to wiele mu jeszcze brakuje do autorytetu. Itp., itp., itp... Gdybyż przynajmniej tkwiły w tych sporach jakieś głębokie myśli, trafne sformułowania, ogólna krytyka tematu, piękno formy.

W dobie upowszechniania kultury pisarz współczesny — publicysta, literat — to służba społeczna. Trudno i darmo. Bo jeszcze jak sobie pp. literaci podyskutują ciekawie o erotyźmie komercyjnym, o powieści, czy ma służyć jakiejś idei czy nie, o literaturze katolickiej i marksistowskiej — to, to może być i bardzo często jest ciekawe. Ale, że ktoś poświęca 200—400 wierszy temu, co ktoś inny o nim napisał — to już nie jest literatura, ani publicystyka. Pamiętać trzeba o tym, że i ten zwykły zapędzony robotą czytelnik też ma głos. I jeżeli zagląda do pisma, mającego stempel: kultura, literatura, sztuka, to nie po to, aby znalazł podstawione pod te pojęcia nazwiska pp. X-ów i Y-ów. Chciałby raczej dowiedzieć się czegoś więcej o samych tych pojęciach. Jeżeli mówimy dziś „umasowienie" to myślimy równocześnie o „towarze", który trzeba umasowić. O nowego klienta dbać trzeba szczególnie, bo to istota ogromnie wrażliwa. Łatwo ją można zniechęcić.

Dlatego chorobie przerostu polemiki, której wzrost obserwujemy coraz częściej na łamach tygodników — trzeba stanowczo przeciwdziałać.

STEFAN SŁONIŃSKI

Wady i zalety dyletantyzmu

(Dokończenie z strony poprzedniej)

dują odprężenie po wyczerpującej pracy, urozmaicenie jednostajności życia, możność koncentracji swych przeżyć czy zainteresowań umysłowych w zestalonej formie. Tak pojęty dyletantyzm, wolny od megalomanii i urazów, oddaje dużą korzyść temu, kto mu się poświęca. Oczywiście korzyść będzie trwała tak długo, dopóki próby pisarskie nie przekroczą miary rozrywki czy zajęcia ubocznego i nie zagrożą zawodowi. Lecz nie tylko dyletant odniesie korzyść z tej działalności. Może dać coś ze siebie również społeczeństwu. Jest przecież przedstawicielem określonej formacji zawodowej, posiadającej swój właściwy sposób życia i zespół zagadnień. Może zatem dużo ciekawego powiedzieć bliźnim o krainie swego dnia codziennego. Zależnie od tego czy jest mniej lub więcej bystrym obserwatorem, będzie to obraz mniej lub więcej barwny. Kim jest — rybakiem, kolejarzem, czy urzędnikiem — ma znaczenie wtórne. Na każdym odcinku życia można się dopatrzyć zjawisk i rzeczy ciekawych. Gorzej, gdy dyletantowi brak treści, o której mógłby zdawać ciekawą relację — pozostał jedynie przerost ambicji i egotyzm.

Ze względów powyższych najmniejsze niebezpieczeństwo dyletantyzmu jałowego zagraża reportażowi, rodzajowi granicznemu między literaturą, a dziennikarstwem, wymagającego przede wszystkim obserwacji zjawisk i rzeczy, które są poza nami. Tu kult własnej osoby nie da się utrzymać.

Czytelnicy „Głosu" zetknęli się przed niedawnym czasem praktycznie z zagadnieniem piśmiennictwa dyletanckiego. Przez szpalty pisma przewinął się plon konkursu na krótkie opowiadanie. Ilustracją słuszności u przedniej tezy może być fakt, że pierwsze nagrody przypadły w udziale właśnie reportażowi z zakresu świata pracy codziennej.

Na marginesie imprezy konkursowej odezwały się głosy krytykujące bądź pochwalające myśl konkursu dla pisarzy-dyletantów.

Pierwsi dopatrywali się pośród możliwych następstw konkursu usankcjonowania spadku poziomu pisarskiego, oraz rozbudowania bezzasadnych ambicji i aspiracji. Drudzy dopatrywali się wartości w obfitym obrazie społecznym świata pracy, przenieśli zatem ocenę na płaszczyznę raczej socjologiczną niż literacką.

Zgódźmy się. Rację mieli jedni i drudzy. Prawda, jak zawsze, leży gdzieś pośrodku. Garść uwag rzucona o istocie dyletantyzmu pozwoli nam wyciągnąć ów kompromisowy wniosek: nawet dyletantyzm pisarski wniesie, aczkolwiek w skromniejszych niż inne rozmiarach, pewne dodatnie momenty do życia kutluralnego pod warunkiem, że będą mu patronować stale: umiar, kontrola własna i obca, oraz praca.

Leszek Prorok

— Akurat! Mielibyście je do tej pory. Mama wam może uwierzy, ale nie ja.

— Olaboga! — krzesny wstał i z dwoma papierosami w palcach zbliżył się do nas. — Masz Staśku i ty Stefan. — Zabierał się usiąść przy nas na snopie, gdy Janka nagle wrzasnęła:

— Ostrożnie ojciec, bo kosa!

Krzesny, usłyszawszy to, wyskoczył jak oparzony. Zatrzymał się opodal gniewny, poznawszy żart. Aż łzy napłynęły mu do niebieskich źrenic, gdy spoglądał na córkę z wyrzutem. Rzekł, gdy umilkł wreszcie śmiech:

— Tak to się kpią ze starego ojca, gdy ja ledwo stoję na nogach.

— To pocoście przyszli ze śniadaniem? Nie mogła Janka zabrać po drodze?

— Olaboga! — krzesny znów się oburzył. — Ciągle byśta kazali mi siedzieć w domu. Tam matka mnie pędzi, tu wy...

Umilkł, gdy nie przestawaliśmy się uśmiechać. W istocie biedak wyglądał żałośnie. Po prostu kot by nad nim uronił łzę, a tu rodzone dzieci nie miały wyrozumienia, litości... Odszedł wreszcie, zabrawszy pusty koszyk.

— A wstąpcie znowu do „kowala"! — krzyknął za nim Stefan.

Obejrzał się z obrazą — odległy już. Pomało zniknął za żytem. Wtedy my wyciągnęliśmy się jak dłudzy w cieniu mendela. Przy nas zamyślone siedziały dziewczyny. Zośka smutna z powodu bliskiego wyjazdu i rozbawiona Irenka. Zaczęła mnie drażnić po twarzy kłosem, który trzymała w ręku, sama siedząc pod nachyloną kłosistą strzechą. Ale pomału dłonie zaprzestały psoty, twarz spoważniała, choć na usta ciągle powracał uśmiech. Całowaliśmy się oczyma.

Po znojnej pracy nastała chwila jasnego odpoczynku. Ogniste chmury przepływały wysoko, daremnie tęskniąc do cienia. Tedy roztapiały się we własnym, wsiąkały w błękit... Wszystkiemu przychodziły na myśl gęste uroczyska leśne, brzegi rzek, łąki bezkresne. Po świecie po polu i nam po oczach pełzał srebrzysty sen.

Odpoczywaliśmy tak blisko godzinę, pomału roztapiając się w blask. Ale trzeba było zebrać się wreszcie. Przekosiwszy jednak parę razy, daliśmy spokój pracy. Zbyt głowy nam rozpalił żar. Zabraliśmy się tedy do domu, idąc po prostu oślepieni w upale. W istocie ziemia płonęła niby na patelni ognistej jajecznica, na domiar — niby tłuszczem — podlewana ciągle słońcem.

Trochę tę jaskrawość powietrza łagodziła zieleń wsi, do której wstąpiliśmy, lecz i ona poszarzała w upale. Wierzby nad drogą cierpiały, zwiesiwszy liście. Sady stały niby w gotującej się wodzie. Nad światem wiło się ogniste znużenie. Upał wypalił myśli wszystkiemu, niby resztę wilgoci porannej w trawie.

Wyczerpani, omdleli wlekliśmy się przez martwą wieś po gorącym jak popiół piasku. Że też tam komuś chciało się klepać kosę na taki żar. Toż można było usnąć siedzący z młotkiem w ręku. Ostrzej tylko pachniały pokrzywy, błyszczące pod płotami siwym, włoskowatym, liściem...

Nareszcie staw zalśnił przed oczyma, tuż za nim oślepiła nas białością ścian chałupa. Z ulgą skręciliśmy na podwórze i wieszamy kosy na płocie, skąd do klepania zabierze je krzesny, a sami w mrok do chłodnej izby... Na oknach wiszą chusty, u drzwi płachty. W całym domu pachną krojone świeżo ogórki. Ledwie dostrzegamy krzestną przy kuchni. Z uśmiechem na ustach stawia przed nami obiad na stole.

„Żniwiarz" — obraz S. Przesłańskiego (olej)

Hollywood bez szminki

Hollywood, w lipcu

„Nie wszystko złoto, co się świeci!". Istotny sens tego przysłowia nie sprawdza się chyba nigdzie na świecie tak dosadnie, jak właśnie w stolicy filmu. Sława Hollywoodu, czar jaki emanuje z atelier filmowych, ze wspaniałych will potentatów filmu, renomowanych reżyserów i wielkich „gwiazd" ekranu, — to oszałamiający blichtr, wytworzony sztucznie potęgą reklamy i dolara. Oślepiający blask jupiterów zalewający królestwo X Muzy, od lat przyciąga — niby ćmy — tysiące ludzi z wszystkich zakątków świata. Szukają sławy i rozgłosu, ubiegają się o wielką szansę, walczą wszelkimi dostępnymi środkami o ziszczenie marzeń. Kiedyś „gorączka złota" pchała ludzi na złotodajne tereny Klondyke, tyle tylko, że blask złota zastępował blask sławy i filmowej złudy.

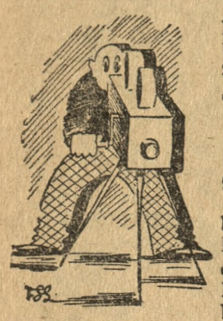

Czasy te przeminęły już jednak. Przemiany, jakie ostatnio idą przez świat, dotknęły także stolicę filmu. Hollywood zmienia oblicze! Widocznym tego objawem są zasadnicze zmiany na odcinku samej produkcji filmów. Szuka się nowych form, nowej tematyki, nowych twarzy. Bo nawet publiczności amerykańskiej przejadły się już produkowane dotychczas filmy o banalnej treści i z nieodzownym happyendem, dramaciki o sekretarce uwiedzionej przez milionera, lub komedie, w których wyświechtane dowcipy walczyły o lepsze z głupawą akcją. Dziś film musi pokazywać prawdziwego człowieka i niesfałszowane życie — inaczej przed kasami kin będą pustki.

Zmianie ulega również samo Hollywood. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że skończono z polityką wysławiania stolicy filmu jako prawdziwego „raju" na ziemi. Zmieniono metody reklamy. Biura prasowe wielkich wytwórni i szefowie reklamy renomowanych „gwiazd" zaczynają wreszcie pisać niesfałszowaną prawdę o tym, co to jest Hollywood, jak naprawdę żyją sławy ekranu pod słonecznym niebiem Kalifornii i o trudach pracy przy każdym filmie. Skończyło się wyczarowywanie raju, który nigdy tam nie istniał, zarzucono opowiadaną od dwóch dziesiątek lat bajkę, jakoby ludzie filmu byli inni od ludzi borykających się z codziennym życiem.

Lata całe pilnowano skrzętnie, by w świat nie poszła żadna wiadomość, która mogłaby zachwiać wiarę milionów widzów kinowych, jakoby w Hollywood było inaczej niż to pisali suto opłacani szefowie reklamy, spod których piór wychodziły same superlatywy i pochlebstwa.

Bo prawda nie popłaca na bruku hollywoodzkim. Nikt nie otworzy ust, by naprawdę szczerze i otwarcie porozmawiać. Dyrektor wytwórni ma pod biurkiem zainstalowany mikrofon i konferując z aktorami, lub wybitniejszym pracownikiem, uruchamia go. Przebieg rozmowy zostaje utrwalony na płycie. Wiedzą o tym już wszyscy i dlatego nikt nie prowadzi z dyrekcją ważnych lub wiążących rozmów w cztery oczy, lecz tylko w obecności przyprowadzonego świadka.

Życie towarzyskie, przyjęcia lub oficjalne week-end'y odbywają się z zachowaniem całego ceremoniału. Istnieje coś w rodzaju nieoficjalnego protokółu dyplomatycznego, rozstrzygającego o tym, kogo można, a kogo nie wypada zaprosić! Toteż nie łatwą jest sprawą obcować z tymi właśnie osobami, z którymi by się pragnęło. Nie wypada np. zaprosić jakiegoś mało znanego aktora na przyjęcie, w którym uczestniczą wysoko opłacane „gwiazdy", znani reżyserzy, albo zgoła dyrektorzy produkcji. Choćby ten mało znany aktor był naszym serdecznym przyjacielem.

Na temat stosunków panujących w Hollywood ukazała się ostatnio bardzo wzięta powieść pt. „The loved one" (Kiedyś kochany), pióra Evelyn Waugh.

Jest to pewnego rodzaju tragikomedia, zjadliwa satyra, ale zarazem przebija z tej powieści głęboka troska o poważnie zachwianą godność człowieka. Nikt dotąd nie dał tak plastycznego obrazu prawdziwego życia w Hollywood, nikt nie zajrzał tak wnikliwie za kulisy machiny filmowej.

Przeciętny śmiertelnik, żyjący na europejskim kontynencie, wyobraża sobie, że życie „gwiazd" to jedno pasmo przyjemności, luksus, toalety, popularność i astronomiczne zarobki. Tymczasem życie sław filmowych nie jest bynajmniej godne zazdrości. Można je porównać do przysłowiowego „domku z kart", który rozpada się za najlżejszym podmuchem. Tu człowiek równy jest maszynie i tak długo utrzymuje się na szczycie sławy, dopóki dobrze „funkcjonuje". Gdy się zużyje, gdy straci popularność, gdy zgaśnie jego blask na firmamencie filmowym — staje się niczym. I już nigdy nie zdobędzie drugiej wielkiej szansy. Chyba po śmierci, wówczas bowiem pochowają dawną „gwiazdę" z całym snobistycznym ceremoniałem, jakiego mogłyby „organizatorom" pogrzebu pozazdrościć niejedne dzikie plemiona zamieszkujące niedostępną dżunglę.

Ale gwiazdy filmowe zeszły też z wysokiego piedestału i stały się bardziej przyziemne. Nie ukrywają już swego wieku, nie krępują się fotografować z dorosłymi dziećmi (np. Marlena Dietrich została ostatnio babką), chętnie mówią o swym normalnym życiu, o trudach pracy i codziennych kłopotach. Tak jak film obrazuje nam prawdziwego człowieka i prawdziwe życie, tak Hollywood i jego „gwiazdy" ukazują się nam teraz bez szminki. Stolica filmu przestaje być złudnym „rajem", staje się natomiast ośrodkiem, z którego usuwa się wszelki sztuczny blichtr.

Bystander

Maria Laskowska, która w komedii muzycznej Jerzego Tomskiego pt. „Kariera panny Marry", ujmującej w krzywym zwierciadle kulisy amerykańskiego świata filmowego — odniosła w Poznaniu w roli tytułowej duży sukces aktorski i śpiewaczy

Muza w kuchni

— Pani się powtarza — powiedział kos do kukułki, zdenerwowany jej kukaniem.

Wbrew tradycji, która nakazuje niedzielne felietony poświęcać sprawom mniej lub więcej wesołym, uwagi poniższe dotyczą rzeczy przeraźliwie ponurej i tak smutnej jak tango argentyńskie. Nie trudno się stąd domyślić, że mowa tu o naszej tzw. muzyce rozrywkowej (po polsku — szlagierach), czyli opuszczonym przez Boga i poetów zakątku kultury upowszechnionej. Prawda, że od ustawicznego pisania na ten temat czcionki o—h—y—d— oraz a w mojej maszynie prawie zupełnie się już zużyły, ale zapewne długo jeszcze trzeba będzie powtarzać „ceterum censeo" jako, że nie od razu Ratusz odbudowano.

Miałem w gimnazjum profesora, który nie bez słuszności twierdził, że kultura narodu poznaje się po ustępach.

Całe szczęście. Bo gdyby tak komu przyszło do głowy wyrobić sobie sąd o naszych potrzebach duchowych na podstawie większości śpiewanych u nas tzw. „przebojów", wstyd byłby jeszcze większy. Nie chcę nikogo straszyć, ale to się może zdarzyć. Pamiętamy jeszcze np popularną swego czasu piosenkę hiszpańską, śpiewaną przez Pilar Argos pt. „Senor comissario". Taka sobie bezpretensjonalna piosenka a biednej dziewczynce i nielitościwym komorniku. Słuchając takiej piosenki, nabiera się mimo woli szacunku do zapotrzebowań kulturalnych całego narodu. U nas zrozumiała to Hanka Ordonówna.

Zasadniczo jednak wolimy piosenki o miłości. I to koniecznie o miłości tragicznej, łzawej, beznadziejnej i skręcającej flaki. Nasi pieśniarze muszą mieć „skrwawione serca" i pełne kiszenie łez. Wtedy dopiero jest wesoło.

Śmiej się pajacu. No, ale to już kwestia naszego łzawego temperamentu i trzeba przyznać, że niektórzy autorowie zaczynają wreszcie zmieniać płytę, wypłakawszy ostatnie łzy i wydawszy ostatnie westchnienie.

Znacznie gorzej przedstawia się forma tej poezji, pełnej zwrotów i sytuacji oklepanych jak łydki sportowca po wizycie u masażysty. Wieczna częstochowszczyzna, nasuwająca chwilami wrażenie, że to zwykłe kpiny z publiczności. Lepiej nie cytować.

Ostatnio słyszałem piosenkę pt. „Miłość przez duże M". Warto posłuchać, jeżeli się ma silne nerwy. Typowy poemat made in Częstochowa. Człowiek zastanawia się mimo woli, kto i dla kogo tworzy takie mydła przez bardzo małe m? I taki towar produkuje się całymi tonami. Ponad normę. A publiczność musi słuchać. Ludzie bardziej przedsiębiorczy i mniej dbali o garderobę rozdzierają wtedy szaty i krzyczą wielkim głosem: dlaczego nie ma w Polsce jakiejś instytucji, mogącej przeprowadzić skrupulatną selekcję i nie dopuszczać do publikowania szmiry, paczącej zmysł estetyczny. Dlaczego jakiś ZAIKS nie zaiksuje dokładnie takiej „poezji", szerzącej się jak stonka na płytach gramofonowych, po kawiarniach i — podobno — na dancingach? (podobno, bo sam jeszcze na dancingu nigdy nie byłem, jeżeli nie liczyć jednej nocy spędzonej — zresztą przymusowo — w poczekalni dworcowej w Rogoźnie).

Bohaterską i mozolną walkę z tym zalewem tandety podejmuje na szczęście od pewnego czasu garstka naprawdę dobrych autorów, piszących doskonałe nieraz teksty. Oby im Muza dała zwycięstwo! Tylko, że droga do tego zwycięstwa będzie ciężka i żmudna, i zapewne długo jeszcze na nie poczekamy. Kto wie, czy nawet nie dłużej niż na ogłoszenie wyników konkursu Pantaleona Śliwki.

Z. Karchowski

Na wczasach

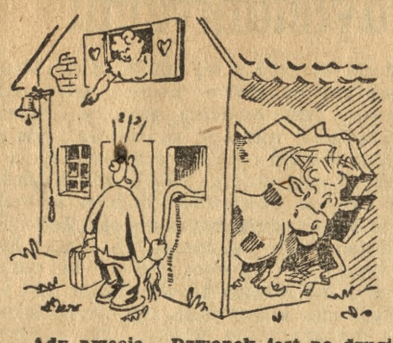

...Ady przecie... Dzwonek jest po drugiej stronie!...

— Przepraszam, czy mógłbym prosić o ogień?

— Jak ty wiosłujesz, że się wcale nie poruszamy?

Witold Degler

Fraszki

Nałogi

Nałogom hołdują ludzie a także niebiosa.
Co z tego gorsze, rozważcie wy sami:
palacz, co się zaciąga dymem
z papierosa —
czy takie niebo, co się zaciąga
chmurami?

Dosłownie

Rzekł śpiewak, co dla chleba
piosenki zawodzi:
„Ach to ciągłe śpiewanie
gardłem mi wychodzi!"

Bezdomny

Los mu widocznie nie służy,
łza w smutnym kręci się oku:
Z poddasza ma widok na gruzy —
lecz ŻADNYCH WIDOKÓW
NA POKÓJ.

Z teki karykaturzysty

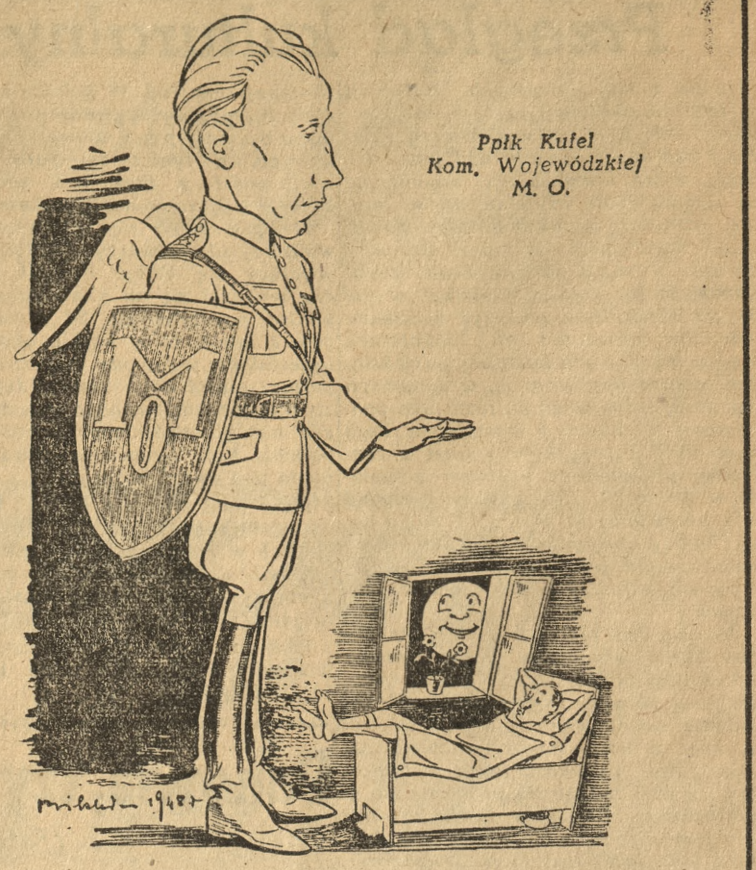

Ppłk Kufel
Kom. Wojewódzkiej
M. O.

14 dni wczasowicza

(z notatek prywatnych)

1. Przyjechaliśmy na miejsce. Byliśmy zmęczeni podróżą. Zauważyłem, że dom, w którym mieliśmy zamieszkać, jest murowany. Powiedziano nam, że i pogodę będziemy mieć murowaną.

2. Śpi się doskonale. A już się obawiałem, że będą pluskwy. Nic podobnego. Ani śladu. Są tylko pchły, ale bardzo oswojone. Po prostu jedzą z ręki (moją krew).

3. Zapoznałem się przy obiedzie z kilkoma współczasowiczami. Są bardzo zjadliwi. Konsumują olbrzymie góry jedzenia. Spostrzegłem, że zostawili mi najmniejszą porcję sałaty. Od razu przypomniały mi się słowa poety, że „prawdziwych przyjaciół poznajemy przy obiedzie".

4. Zorganizowano pierwszą wycieczkę w góry. Nie poszedłem. Powód? Brało w niej udział wiele osób. A ja nie lubię osobistych wycieczek. Na obiad było sałata.

5. Pani kierowniczka ma bardzo ładnego psa oraz głęboki dźwięczny głos. Pies jest bardzo tłusty i wesoły, czym odróżnia się bardzo od reszty współczasowiczów. Sałata na obiad bardzo mi smakowała.

6. Napisałem do domu list tej treści: „Droga żono. Zajechałem szczęśliwie i jest mi dobrze. Więcej nie piszę, gdyż po powrocie przeczytam ci moje notatki. Ściskam w pasie". Po napisaniu listu poszedłem do jadalni na obiad. Już z daleka zauważyłem półmiski ze sałatą.

7. Pies pani Kierowniczki zjadł mi pantofle, które zostawiłem na noc w korytarzu. Przy obiedzie zjadłem dużą porcję sałaty.

8. Pogoda nareszcie ustaliła się. Codziennie pada deszcz. Utrudnia to nieco plażowanie, ale za to sprzyja lekturze. Czytelnia naszego „Domu Wczasów" jest bardzo bogata. Czytam „Przyjaciółkę", „Poradnik Pszczelarza". „Co Tydzień Powieść" oraz prasę miejscową. Czytam dużo. Dobra lektura ułatwia bowiem trawienie sałaty.

9. Poszliśmy gromadnie zdobywać jeden z okolicznych szczytów. W czasie drapania się na górę, ktoś opowiedział taki dowcip: — „Czy państwo wiecie, kto to jest taternik lub alpinista? — No, no, słuchamy? — To jest człowiek, który się drapie tam, gdzie go swędzi". Jedna pani ze śmiechu spadła na dół do podnóża góry i musiała na nowo się drapać. W drodze powrotnej zgadywaliśmy, czy będzie na obiad sałata czy nie? Ja jeden miałem rację. Była.

10. Urządziliśmy wieczorem mały dancing przy radio. Tańczyło się świetnie. Nadawali utwory fortepianowe kompozytorów współczesnych, a potem fugi Jana Sebastiana Bacha. Trudno — jak nam zagrali, tak trzeba było tańczyć. Cel zabawy został osiągnięty. Zapomnieliśmy wszyscy o tej obiedniej sałacie.

11 i 12. Niczego nie zanotowałem, bo zagubiło mi się gdzieś wieczne pióro. Czyżby znów ten pies pani Kierowniczki?...

13. Dostałem list od żony. Donosi, że karty zameldowała, Jacek dostał chrypki, i że w ogródku wszystko rośnie jak na drożdżach. „Najpiękniej — pisze — wyrosła sałata, którą Ty tak lubisz, prawda?" Nieprawda.

14. Poszedłem pożegnać się z panią Kierowniczką. Miała łzy w oczach. Bo nie chciałem złożyć dodatkowej sumki na koszta manipopulacyjne. Napomknąłem coś o zjedzonych przez psa pantoflach. Zrobiła się zielona ze złości. Pomyślałem, że to od tej sałaty. Tak czy owak, długo tych wakacji nie zapomnę. Dźwigając na dworzec (5 km) walizkę, pomyślałem sobie: — No, już po wczasach. Teraz tylko parę tygodni wypoczynku w domu i znów będzie można wziąć się do normalnej roboty.

O key!

MIK

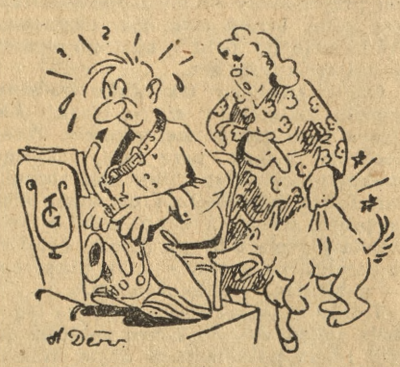

— Więc to pan zdjął obrożę z mego psa?!? kach".

— To bardzo stary ten pański dowcip.
— Ależ panie redaktorze, przecież on dopiero w ubiegłym tygodniu był w „Szpil-

Krótka droga złości na widok piękności

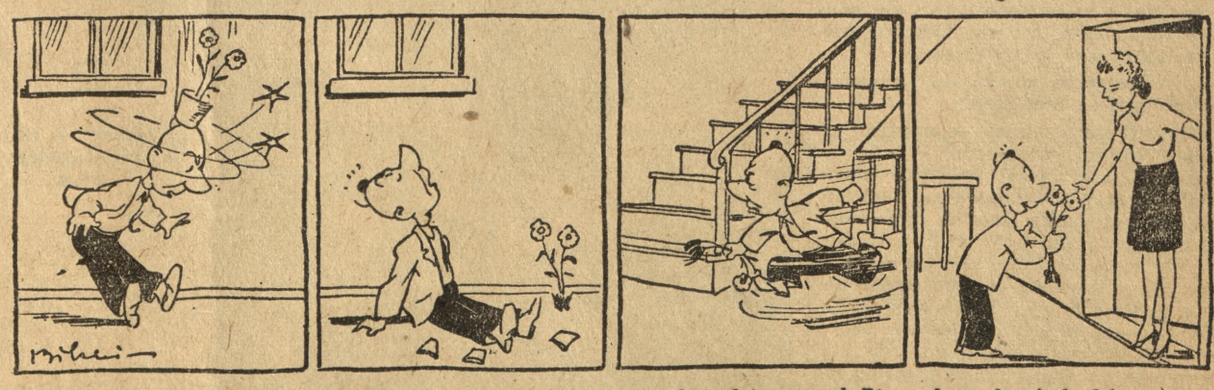

Z piętra doniczka zamiast [na ziemię spadła przypadkiem Śliwce [na ciemię.

Upadł na chodnik, z wzro-[kiem ponurym boleśnie spojrzał jeszcze [do góry,

I nagle szał go ogarnął. Po-[biegł po schodach z kwiatkiem: — [Piekło tam zrobię!

A w drzwiach dziewczyna [jak malowanie, zmiękło mu serce: — Ten [kwiat dla Pani.